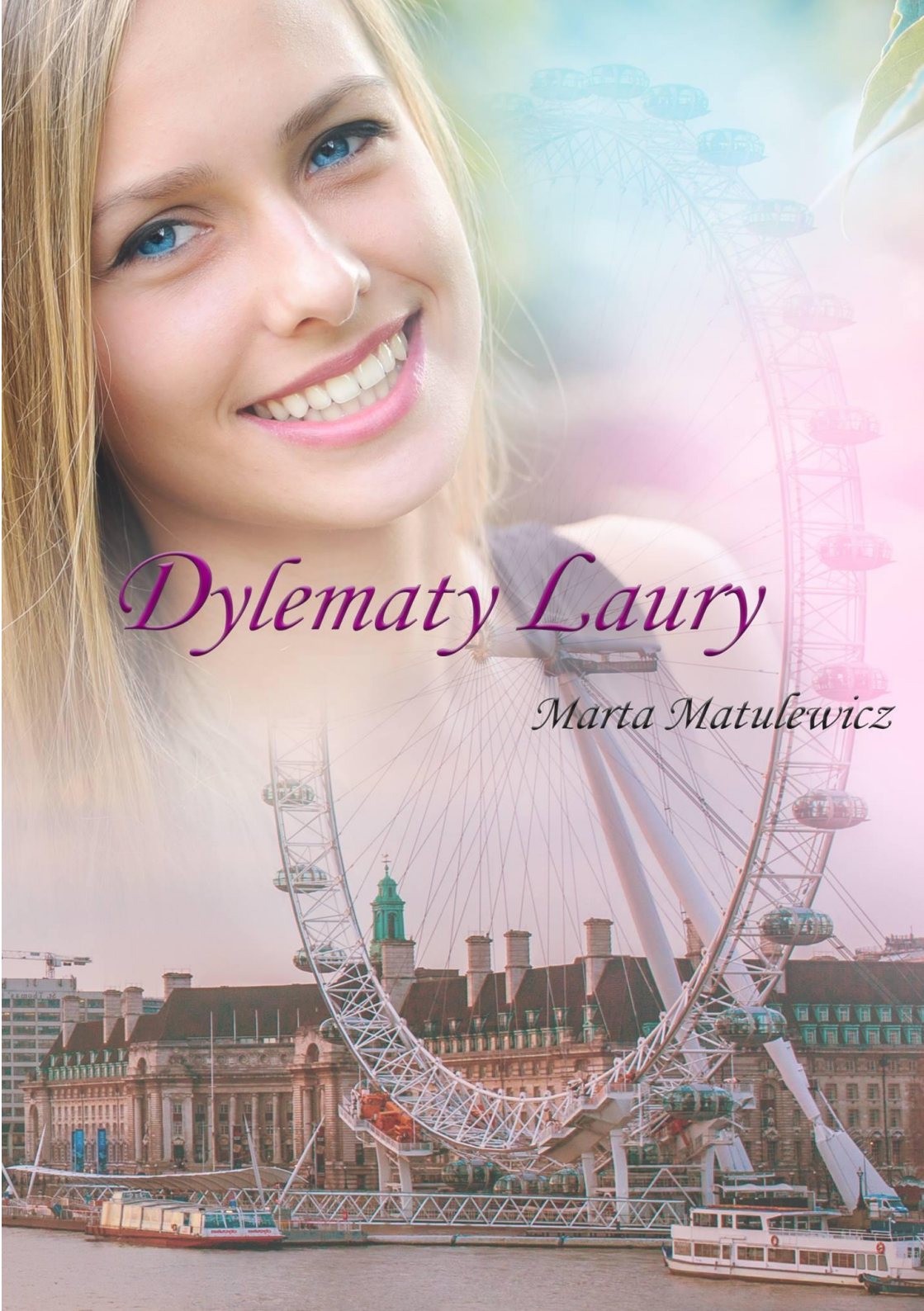

Dylematy Laury
Marta Matulewicz

Marta Matulewicz

Dylematy Laury

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2017

Marta Matulewicz

„Dylematy Laury”

Copyright © by Marta Matulewicz2017

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o. o. 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Ewelina Rokosa

Modelka na okładce: Katarzyna Chrobot

Korekta: Zuzanna Laskowska

Skład: Agnieszka Marzol

ISBN: 978-83-8119-145-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

http://wydawnictwo.psychoskok.pl

http://www.psychoskok.pl

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Patronat medialny:



Przeszłam pomyślnie kontrolę paszportową i stwierdziłam, że potrafię sobie poradzić ze wszystkim. Na dodatek bramka, którą potem musiałam przekroczyć, nie piszczała. Nie musiałam więc zdejmować butów i nie miałam przeszukiwanego bagażu. Wspaniale, nie ma to, jak szczęśliwa wróżba na początek nowej drogi życiowej.

Potrafię to zrobić.– powtarzałam sobie jak mantrę raz po raz. Potrafię z dnia na dzień zostawić pracę recepcjonistki w modnej siłowni, potrafię, bez uronienia jednej łzy, rozstać się ze zdradzającym mnie facetem, potrafię przytyć (no co – nie można mieć wszystkiego) dowolną liczbę kilogramów w bardzo krótkim czasie i potrafię wyssać z powietrza cały cellulit. Taka jestem zdolna. Nie będę na razie myślała o rzeczach, których nie potrafię robić, nie po to kupiłam sobie tusz do rzęs za całe dwadzieścia pięć złotych, aby teraz, na lotnisku w Goleniowie, wyglądać jak panda.

Lecę do Wielkiej Brytanii i mam zamiar być tam szczęśliwa, bogata i szczupła. Wybrałam Londyn jako miasto docelowe, bo skoro już mam żyć w innym państwie, w wielomilionowej społeczności, to chcę mieszkać ze swoją przyjaciółką Zosią, która z dobroci serca zaprosiła mnie do swojego domu. Zawsze podobała mi się stolica Anglii – na zdjęciach, filmach. W opowieściach Zosi również wypadała intrygująco, do tego ludzie posługiwali się językiem, który w znacznym stopniu rozumiałam. Będzie to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Różne języki, różne kultury... Ach, może tam czeka na mnie książę z bajki. W Polsce książęta z nieznanej mi przyczyny omijali mnie szerokim łukiem. Przecież nie wymagam aż tak dużo. W swoim dwudziestopięcioletnim życiu miałam dość mężczyzn, którzy udawali, że mnie kochali, udawali, że są singlami (choć biały pasek na serdecznym palcu

mówił sam za siebie), lub udawali, że mają pieniędzy w nadmiarze (potem okazywało się, że w nadmiarze to mieli długów komorniczych). Dość już tych smutnych rozmyślań.

Laura rozejrzała się po poczekalni, w której przyszło jej czekać na samolot. Wraz z nią czekały rodziny z dziećmi, pary szczęśliwe, pary skłócone, małżeństwa z długim stażem i oczywiście single. Ci interesowali ją najbardziej. Przemyślenia przerwał komunikat wydobywający się z głośników umieszczonych nad głowami czekających.

Kurczę, ja to sobie zawsze znajdę miejsce. Miły damski głos poinformował czekających, że odprawa na lot do Londyn-Stansted właśnie się rozpoczęła. Wstałam z plastikowego, niewygodnego krzesła i wyjrzałam przed siebie. Przede mną już formowała się kolejka, a na samym jej początku stała kobieta ubrana w mundurek i z uśmiechem prosiła o pokazanie karty wstępu na pokład (dlaczego nie może powiedzieć, że chce zobaczyć bilet!) oraz karty *priority* (o matko, co to za karta! dlaczego ja jej nie mam?!). Już po chwili owa niewiasta ze zdenerwowaną miną oraz głupim i nienaturalnym grymasem, który miał być uśmiechem, powtórzyła:

– A gdzie pani karta *priority*?

– Eeee… nie mam – wymamrotałam. W tym momencie pasażerowie mieli już niezły ubaw, a moja twarz przybrała odcień buraka.

– To proszę przejść do kolejki obok.

Spojrzałam w bok, gdzie kłębił się tłum. Posłusznie wyszłam z kolejki, żeby nie narobić sobie jeszcze większego wstydu. O co chodzi z tą kartą pierwszeństwa? Przecież każdy pierwszy nie

będzie. Znalazłam koniec kolejki, który wydawał mi się tak odległy od mojego poprzedniego miejsca, że postanowiłam pójść jeszcze na małą kawę do kawiarni obok. A co mi tam. Po co stać tyle czasu, skoro mogę sobie usiąść, wypić espresso i poczekać na swoją kolej. Spokojnie piłam, obserwując pasażerów znikających w korytarzu prowadzącym na płytę lotniskową. Nagle mój telefon, znajdujący się w kieszeni marynarki, zaczął dzwonić. Miałam nastawiony najgłośniejszy dzwonek i wibracje. Trzęsącymi się rękoma chwyciłam komórkę, potrącając przy okazji filiżankę z kawą, która wylała się na moje nowe, białe jeansy. Wstałam szybko od stolika, tymczasem kolejka zrobiła się wyjątkowo krótka i już teraz powinnam się ustawić. Co zrobić? Lecieć do łazienki i czyścić spodnie? Podejść do kontroli z dość widoczną, brązową plamą na spodniach?! Co za wstyd. Jak ja się ludziom pokażę! To oczywiście moja wina, kto mądry na podróż zakłada białe jeansy. Chciałam wyglądać stylowo, z klasą, jak Jackie Kennedy Onassis. Oczywiście ona nigdy nie oblałaby się kawą (pewnie przezornie zamówiłaby wodę albo oblałby ją jakiś przystojny milioner i w ramach zadośćuczynienia zaprosił na pokład swojego prywatnego odrzutowca), a – co najważniejsze – nie musiałaby stać w długiej kolejce do samolotu. I tak stałam przy stoliku, w jednej ręce trzymając filiżankę z kawą, a w drugiej telefon. Spojrzałam w kierunku kolejki, która jak na złość bardzo szybko się zmniejszała i już tylko dwie osoby czekały na kontrolę.

Uprzejma pani przywołała mnie ruchem ręki, dając do zrozumienia, że jeśli chcę lecieć, mam do niej podejść natychmiast. Wydawało mi się, że wszyscy patrzą tylko na tę plamę, która przybrała rozmiary średniego jeziora. Jak na złość

wszystkie moje ciuchy wysłałam wcześniej do Zosi, żeby nie płacić za nadbagaż. Dlaczego nie zabrałam zapasowych spodni?!

Podeszłam do stewardessy – oddałam jej moją kartę wstępu na pokład. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się (nie wiem, czy z grzeczności, czy ze współczucia) i oddała mi połowę mojego biletu (drugą połowę zatrzymała dla siebie), po czym mogłam już udać się do samolotu. Na filmach widziałam, jak wygląda cała procedura związana z lataniem, pokazywali, że jest podstawiany rękaw lotniczy, który ułatwia podróżnym znalezienie się w samolocie bez konieczności wyjścia z lotniska na płytę… Tutaj się zawiodłam, sama musiałam zejść po schodach, a na dodatek do samolotu stała długa kolejka pasażerów. Opornie to szło, bo kolejka się nie posuwała. Stałyśmy (ja i moja plama) na płycie lotniska, modliłam się, aby w tym momencie nie spadł deszcz... I tak obrazek był wystarczająco żałosny, choć deszcz może rozwiązałby kwestię plamy…

W końcu dotarłam na schody prowadzące do samolotu. Podałam swoją kartę pokładową i, patrząc na cyferki oznaczające miejsca, zaczęłam szukać swojego. Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że moje miejsce jest prawie na środku samolotu. Cudem posuwałam się do przodu, musiałam czekać, aż pasażerowie usiądą, bym mogła przejść dalej. Jeszcze raz nerwowo spojrzałam na bilet, aby upewnić się, które miejsce jest moje. Z niedowierzaniem dostrzegłam, że siedzi na nim jakiś młody człowiek.

– Przepraszam pana, ale zajął pan chyba moje miejsce. – Mężczyzna spojrzał na mnie, jakbym właśnie powiedziała do niego coś po chińsku.

– Nie wydaje mi się. – Rozparł się wygodnie na swoim fotelu, uważając rozmowę za zakończoną. Oczywiście naszej wymianie zdań przyglądała i przysłuchiwała się połowa pasażerów. Nie ma to, jak drobna awanturka na początek lotu.

– Ależ tak. – Starałam się, by mój głos brzmiał stanowczo. Facet westchnął tylko i zapytał:

– Jaki ma pani numer siedzenia? – Patrzył na mnie jak na wariatkę.

– Sześćdziesiąt osiem – odparłam, starając się, by zabrzmiało to wyniośle i z gracją jednocześnie. Byłam przekonana, że zajął moje miejsce, a na dodatek jeszcze się awanturuje.

– Prawa czy lewa strona?

W tym momencie poległam. Wiedziałam, że (jak zwykle) pomyliłam strony – prawą z lewą (oto jeden z powodów, dla których-pomimo, iż mam prawo jazdy, nigdy nie będę jeździć autem). Próbowałam jeszcze jakoś wybrnąć z tej głupiej sytuacji, mówiąc, że to właśnie jest lewa strona, czym z pewnością pogrążyłam się doszczętnie.

– No to super, bo to jest prawa – powiedział i spojrzał na mnie z poirytowaniem i litością jednocześnie. Chciałam go wywalić z siedzenia, które zajmował zgodnie ze swoim biletem. Czy to pasmo porażek dziś się skończy...?

Odwróciłam się bokiem, po drugiej stronie oczywiście było wolne moje miejsce. Przecisnęłam się na nie z głupim uśmiechem na twarzy, usiadłam i zdjęłam kurtkę. Ale co mam zrobić z bagażem podręcznym? Inni pasażerowie ładowali swoje torby na specjalne plastikowe półki umieszczone nad siedzeniami, ale ja już nie miałam jak wstać. Stewardessa podeszła do mnie

i powiedziała, że mogę trzymać swoją torbę pod nogami. Świetnie – będę mieć łatwy dostęp do swoich rzeczy. Wepchnęłam torbę pod siedzenie, zapięłam pas i otarłam pot z czoła... Udało się, teraz już będzie tylko lepiej.

Na szczęście miałam siedzenie przy oknie, więc mogłam obserwować kawałek lotniska. Po chwili zauważyłam, że stewardessa zamyka drzwi do samolotu, a jej koleżanka podchodzi do słuchawki telefonicznej zawieszonej na ścianie. Podnosi ją i oznajmia: *Witam państwa bardzo serdecznie na pokładzie samolotu lecącego z Goleniowa na lotnisko Stansted. Jest godzina 8.00. Startujemy o czasie, pogoda idealna, temperatura powietrza: 20 stopni, nie wieje wiatr. Lądujemy o 10.45 i mamy nadzieję, iż uda nam się dotrzeć na czas*. Coś jeszcze mówiła, ale w tym momencie usłyszałam, jak ryczą silniki, widziałam przez okno rozpędzające się koła samolotu, który nabierał coraz większej prędkości. Byłam oczarowana do momentu, w którym odbiliśmy się od ziemi i samolot zaczął się wznosić. Zakręciło mi się w głowie, w uszach zaczęło dzwonić… Na szczęście objawy ustały tak szybko, jak się rozpoczęły. Samolot znalazł się w chmurach, w białej mlecznej mgle.

Mama czasami mi powtarzała, że mam głowę w chmurach, teraz miałaby zupełną rację. Ujrzałam wschodzące słońce i ten widok spowodował, że zupełnie zamarłam. Białe lekkie chmury pod moimi nogami, czy raczej pod samolotem, i piękne pomarańczoworóżowe słońce. Bezmiar błękitu i przestrzeń.

Chciałam zatrzymać tę chwilę na zawsze pod powiekami. Żałowałam, że samolot leciał jeszcze w górę, pragnęłam zostać w tym raju. Zapaliła się lampka sygnalizująca, że mogę rozpiąć pas bezpieczeństwa. Wreszcie. Stewardessa przez słuchawkę

potwierdziła, że znajdujemy się na bezpiecznej wysokości, a za parę minut jej koleżanka Sylwia zacznie przyjmować zamówienia. Wspaniale, może napiję się jeszcze kawy? Poprzedniej przecież nie dopiłam. Tak, zdecydowanie należy mi się po tych wszystkich stresach odrobina przyjemności. Rozpięłam pas i zaczęłam przyglądać się swoim współpasażerom. Obok mnie siedział facet, który ważył chyba ze sto kilogramów – tajemnicą było dla mnie, jak wcisnął się w te wąskie siedzenia. Nie dość, że był gruby, to jeszcze wysoki. Nie wiem, jak ja się koło niego przecisnę do łazienki. Na ostatnim miejscu siedział chłopiec, na moje oko siedmioletni, czytający komiks. Wymarzonego księcia ani śladu.

Usłyszałam wózek i zobaczyłam stewardessę. Poprosiłam o kawę, chociaż nie powinnam, bo wiedziałam, że na pewno będę latać do łazienki.

Moi współpasażerowie nie mieli na nic ochoty. Zrozumiałam dlaczego, gdy stewardessa poprosiła o należność za kawę. Myślałam, że jest za darmo, cena zwaliłaby mnie z nóg, gdybym – na szczęście – nie siedziała. Za tyle mogłabym kupić całe opakowanie. Trudno, z bólem serca podałam jej należność. Uśmiechnęła się i powiedziała, że za pięć minut dostanę swoje zamówienie. Oparłam się o siedzenie, zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. Miałam nadzieję, że uda mi się choć trochę rozluźnić. Ostatnie dni spędzone na pakowaniu, żegnaniu z rodziną, Robertem, były dość stresujące.

Robert – moja była niedoszła miłość – nie wiedział, czy ma być załamany, bo go zostawiam, czy cieszyć się z odzyskanej wolności. Wrażliwość norki, ale jaka uroda…

Poznaliśmy się rok temu na domowym sylwestrze organizowanym przez wspólnego kolegę – Jacka. W sumie nie mogę powiedzieć, że była to miłość od pierwszego wejrzenia, choć starałam się to sobie wmówić. Może ja nie potrafię się tak zakochać, albo to jeszcze jeden mit. Spędziliśmy ze sobą całego sylwestra, fajnie nam się gadało, tańczyło. Robert zachowywał się szarmancko. Do tego był najprzystojniejszym facetem na imprezie. Nie miałam nic do stracenia. Związałam się bardziej z nudów i z lęku przed samotnością niż z miłości. Był zawsze miły, wypachniony, przystojny, przyciągał wzrok, fajnie było mieć go u swego boku na imprezach. Wydawało mi się, że jesteśmy szczęśliwi – do momentu, w którym dowiedziałam się, że mnie zdradza. Byliśmy na kolacji w nowo otwartej restauracji. W pewnym momencie podeszła do nas kelnerka i wylała na Roberta dzbanek zimnej wody… Wykrzykując przy tym całą prawdę o ich znajomości. W sumie nie przysięgaliśmy sobie wierności, ale są sprawy, które powinny być oczywiste. Dotknęło mnie, że za moimi plecami umawiał się z inną lub innymi, to nawet nie była zazdrość, raczej mnie to wnerwiło. To tak, jakby ktoś bez pytania pożyczył twoją ulubioną torebkę. Robert przepraszał i mówił, że możemy być ze sobą na poważnie, ale czy mogłabym zaufać ponownie facetowi, który nie jest uczciwy od samego początku? Czy mogłabym być z tą samą torebką?

W tym właśnie momencie mojego życia zadzwoniła Zosia z zaproszeniem do Londynu. Nie opierałam się długo. W czerwcu skończyłam college angielskiego, wakacje minęły, rozpoczął się wrzesień. W siłowni, w której pracowałam, miałam dostać cały

etat wraz z podwyżką. Czułam się doceniona, ale czegoś brakowało...

– Bardzo proszę, twoja kawa – moje przemyślenia przerwała stewardessa. Rozłożyłam sobie małą tackę przymocowaną do siedzenia i ponownie pogrążyłam się w zadumie.

Praca w siłowni była ciekawa, lubiłam ruch, lubiłam klientów, szef był w porządku. Finansowo też nie mogłam narzekać. Znajomi mówili mi, że mam szczęście, udało mi się znaleźć tak fajną robotę. Doceniałam to, lecz… No właśnie, czegoś brakowało. Zaproszenie od Zosi spadło mi z nieba. Od razu postanowiłam z niego skorzystać. Rodzice nie byli do końca przekonani, czy powinnam jechać, ale po omówieniu wszystkich za i przeciw zgodzili się, a nawet dali mi swoje błogosławieństwo na ten wyjazd oraz pieniądze na pierwszy miesiąc życia. Spakowałam się, zrezygnowałam z pracy ku rozczarowaniu mojego szefa, pożegnałam bez żalu Roberta i oto jestem na pokładzie samolotu.

Z Zosią poznałam się w collegu języka angielskiego, już na samym początku naszej wspólnej nauki bardzo się polubiłyśmy. Zupełnie nie rozumiałam, po co Zosi ten college. Świetnie mówiła po angielsku, nauka przychodziła jej z wyjątkową łatwością, co mnie chwilami doprowadzało do szału. Kiedy ja wkuwałam wszystkie te zasady, czasy, tryby, słówka, ona latała na randki. Zosia to moje totalne przeciwieństwo. Jest bardzo szczupłą, ognistorudą kobietą, ma zielone, duże oczy i mnóstwo uroku osobistego. Doskonale wie, jak te atuty wykorzystywać, szczególnie w kontaktach z płcią przeciwną. Nasi wykładowcy wiele razy szli grupie na rękę pod wpływem Zosinej urody. Na dodatek natura nie poskąpiła jej intelektu, ukończyła pierwszy rok collegu celująco chyba ze wszystkich przedmiotów i postanowiła wyruszyć

na podbój Wielkiej Brytanii. Tak jej się spodobało, że postanowiła zostać na stałe w Londynie. Ku wielkiej rozpaczy rodziców, którzy woleliby mieć ją na oku w Szczecinie. Od tego czasu utrzymywałyśmy telefoniczne i mailowe kontakty, planując, że kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości, do niej przyjadę.

Wypiłam kawę i poczułam, że mój pęcherz protestuje. Spojrzałam na zegarek i szybko policzyłam, ile jeszcze będziemy lecieć. O nie! Lot ma trwać jeszcze około czterdziestu minut. Dam radę. Wytrzymam. Kurczę, nie, muszę iść do łazienki, tylko jak? Facet obok mnie śpi, a na dodatek totalnie zatarasował przejście. Może jednak uda mi się go przekroczyć. Tak, to jest myśl, szczególnie, że obok niego siedzi chłopiec, więc przejdę dalej bez problemu. Podniosłam nogę i przerzuciłam ją niezdarnie nad nogami mojego sąsiada. Udało się, lecz gdy chciałam ten manewr powtórzyć z drugą kończyną, samolotem zatrząsło. Nie potrafiłam utrzymać równowagi, nie miałam się czego złapać i oczywiście poleciałam na rozłożystego jegomościa, siadając na nim okrakiem z całymi moimi pięćdziesięcioma pięcioma kilogramami. Obudził się, spojrzał na mnie z dziwnym błyskiem w oku. Chyba mu się spodobało, a może zrealizowałam jego senne fantazje?

– Przepraszam – wybąkałam, czerwona po koniuszki włosów.

– Nic się nie stało, zawsze do usług. – Uśmiechnął się do mnie szarmancko.

O matko, ale wstyd! Czy on sobie pomyślał, że na niego lecę. A niech facet coś ma od życia. Czerwona jak burak (znów!) jeszcze raz przeprosiłam, a on ponownie powiedział, że naprawdę nic się nie stało i że mogę tak zostać do końca podróży. W tym momencie zorientowałam się, że cały czas siedzę na jego kolanach. Podskoczyłam jak oparzona i pospiesznie oddaliłam

się do toalety. Próbując otrząsnąć się z szoku, próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda pilot samolotu, może jest superprzystojnym brunetem o brązowych oczach i seksownym uśmiechu…

Miałam szczęście, łazienka była wolna. Z pewnością siebie – tak, jakbym całe życie korzystała z samolotowej toalety – otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Powiedzieć, że miałam miejsce na cokolwiek poza zdjęciem majtek, byłoby kłamstwem. Skorzystałam z niej szybko, modląc się, aby niczego nie obsikać. Po skończeniu zaczęłam szukać spłuczki. Znalazłam niebieski kwadracik w ścianie, który po naciśnięciu wydał taki huk, że uciekłam z toalety przestraszona, zapominając o umyciu rak. No trudno. Nie ja pierwsza, nie ostatnia. Powróciłam na swoje miejsce, modląc się, aby nie facet nie rozpoczął flirtu, jeszcze by mi tego brakowało. Postanowiłam jedno: muszę wziąć się w garść, będę bardziej rozważna, pragmatyczna i zdecydowanie mniej romantyczna. Stewardessa przez mikrofon poinformowała, że za dwadzieścia minut będziemy lądować. I dobrze, bo latania to mi wystarczy na bardzo długo.

Poczułam, jak samolot się obniża, w sumie powoli, ale i tak kręciło mi się w głowie, a na dodatek było mi strasznie niedobrze. Odmówiłam chyba ze sto zdrowasiek, aby nie zwymiotować. Przecież nie mogę stanąć na ziemi brytyjskiej w zarzyganych spodniach, i tak mam już na nich plamę po kawie, więc plama na honorze byłaby ukoronowaniem całości. Modlitwy odniosły oczekiwany skutek. Samolot obniżył lot i wylądował dość płynnie. Wyjrzałam przez okno i nie mogłam uwierzyć, że nie widzę miasta, tylko pola. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego. Zosia namówiła mnie, bym wysłała wcześniej swoje ciuchy przez firmę kurierską. Dzięki temu mogłam

powitać moją najlepszą przyjaciółkę w brudnych spodniach. Choć z drugiej strony teraz na pewno musiałabym się martwić o swój bagaż, który – znając moje szczęście – zaginąłby gdzieś pomiędzy Goleniowem a Dublinem.

Po odprawie, którą przeszłam bez żadnego problemu, skierowałam się do wyjścia. Modliłam się, by Zosia czekała na mnie za rozsuwającymi się drzwiami. I rzeczywiście, stała tam: wysoka, piękna, elegancka, skupiająca na sobie uwagę podróżnych, szczególnie tych płci męskiej. Wyglądała super, zresztą jak zwykle. Przy niej czułam się trochę jak kocmołuch. Podniosłam dumnie głowę, nie ma mowy, bym opowiedziała o moich dzisiejszych przygodach, jestem Europejką, a nie prowincjuszką. Przysłoniłam niezdarnie plamę torebką i uśmiechnęłam się promiennie.

– Laura! – wrzasnęła Zosia, po czym szybkim krokiem podeszła w moją stronę, wycałowała mnie w oba policzki, wyściskała, odeszła krok w tył, spojrzała na mnie uważnie bystrym wzrokiem, po czym stwierdziła – Super wyglądasz.

– Taa… Szczególnie z plamą po kawie – roześmiałam się.

– Co się stało? Musisz mi wszystko opowiedzieć. – Złapała mnie pod rękę.

– Mowy nie ma, będziesz się ze mnie śmiać do końca życia. – I na potwierdzenie tych słów moje policzki zapłonęły. W tej samej chwili ogromny towarzysz z samolotu pomachał mi wylewnie i zawołał:

– Może da mi pani swój numer? – Zignorowałam go, lecz Zosia szepnęła konspiracyjnie:

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok